

K A T E Q U I N N
K O D R Ó Ź Y

Przełożyła
Anna Gralak

MANDO 

OSIEM LAT WCZEŚNIEJ

grudzień 1939

I

– „Chciałabym być kobietą w wieku lat trzydziestu sześciu, ubraną w czarną jedwabną suknię, ze sznurem pereł na szyi”^{*} – czytała na głos Mab Churt. – To pierwsza sensowna rzecz, jaką powiedziałaś, idiotko.

– Co czytasz? – spytała ją matka, przeglądając jakieś stare czasopismo.

– *Rebekę* Daphne du Maurier. – Mab przewróciła stronę. Chciała trochę odpocząć od sfatygowanej listy „Stu klasycznych dzieł literackich dla odczytanej damy”, nie żeby Mab była damą czy nawet żeby była odczytana, lecz zamierzała zostać i jedną, i drugą. Przebrnąwszy przez pozycję numer pięćdziesiąt sześć, *Powrót na wrzosowisko* (uff, Thomasie Hardy!), Mab uznała, że zasłużyła na to, by zanurzyć się w czymś przyjemnym, na przykład w *Rebecce*. – Bohaterka jest kreatynką, a bohater jednym z tych ponuraków, którzy nękają kobietę, i to ma być pociągające. Ale z jakiegoś powodu nie mogą się odebrać. – Może chodziło po prostu o to, że gdy Mab wyobrażała sobie siebie samą w wieku trzydziestu sześciu lat, z całą pewnością miała na sobie czarną satynę i perły. Ponadto w tym marzeniu leżał u jej stóp labrador, pokój zaś był wypełniony książkami, które naprawdę

* D. du Maurier, *Rebeka*, przeł. E. Romanowicz-Podoska, Warszawa 1958, s. 41.

do niej należały, a nie podniszczonymi egzemplarzami z biblioteki. Lucy też była w tym marzeniu, kwitnąca w śliwkowym mundurku w rodzaju tych, jakie noszą dziewczynki chodzące do drogich szkół bez internatu i jeżdżące na kucykach.

Mab podniosła głowę znad *Rebeki*, by popatrzeć, jak jej młodsza siostra galopuje palcami, przeskakując przez wyimaginowane ogrodzenia: Lucy miała prawie cztery lata i jak na gust Mab była za chuda, ubrana w obszarpany sweter i spódnicę, wiecznie bez skarpetek.

– Lucy, nie zdejmuj ich. – Naciągnęła skarpetkę z powrotem na stopę Lucy. – Jest za zimno, żeby biegać boso jak jakaś sierota z powieści Dickensa. – Mab przerobiła Dickensa w ubiegłym roku, pozycje od dwudziestej szóstej do trzydziestej trzeciej, brnąc przez kolejne rozdziały w czasie przerw na herbatę. *Marcin Chuzzlewit*, okropność.

– Kucyki nie noszą skarpetek – powiedziała z powagą Lucy. Miała bzika na punkcie koni. Co niedziela Mab zabierała ją do Hyde Parku, by mogła popatrzeć na jeżdżące tam osoby. Och, jak ona się rozpromieniała na widok tych wymuskanych dziewczynek truchtających w bryczesach i butach z cholewami. Mab marzyła o tym, by zobaczyć Lucy siedzącą na zadbanym kucu szetlandzkim.

– Kucyki nie noszą skarpetek, ale małe dziewczynki owszem – powiedziała. – W przeciwnym razie łapią przeziębienie.

– Ty bawiłaś się boso przez całe życie i nigdy się nie przeziębiłaś. – Matka Mab pokręciła głową. Mab odziedziczyła po niej wzrost, okrągłe sto osiemdziesiąt centymetrów, lecz prezentowała go z dumnie podniesioną głową i prostymi plecami, podczas gdy pani Churt zawsze się garbiła. Papieros w jej ustach unosił się i opadał, gdy czytała pod nosem fragment starego numeru „Bystandera”: „W przerwach między gonitwami Ian Farquhar zabawiał rozmową dwie debutantki z 1939 roku: Oslę Kendall i czcigodną Guinevere Brodrick”. Spójrz na futro z nerek tej młodej Kendall...

Mab rzuciła okiem w stronę czasopisma. Jej matkę bardzo to wszystko fascynowało – to, że córka jakiegoś lorda dygnęła przed królową albo siostra jakiejś lady pojawiła się w Ascot w fioletowej tafcie – lecz Mab studiowała rubryki towarzyskie jak instrukcję obsługi: jakie stroje można skopiować, mając do dyspozycji pensję ekspedientki?

– Ciekawe, czy w przyszłym roku też będzie sezon, skoro jest wojna.

– Większość debiutantek wstąpi pewnie do wrenek. Takim jak my pozostaje Armia Rolna albo ATS*, ale wszystkie elegantki trafią do WRNS**. Podobno mundur zaprojektował Molyneux, ten, który ubiera Gretę Garbo i księżnę Kentu...

Mab zmarszczyła brwi. Ostatnio mundury otaczały ją ze wszystkich stron – i jak dotąd były jedyną oznaką, że toczy się wojna. Mab cały czas tkwiła w tym samym mieszkaniu we wschodnim Londynie, w którym w napięciu paliła z matką papierosy, słuchając wystąpienia radiowego z Downing Street i czując dziwne napięcie, gdy Chamberlain intonował zmęczonym głosem: „Nasz kraj jest w stanie wojny z Niemcami”. Od tego czasu jednak szkopy prawie nie dawały o sobie znać.

Jej matka znowu czytała na głos:

– „Czcigodna Deborah Mitford z lordem Andrew Cavendishem obok wybiegu dla koni”. Spójrz na tę koronkę, Mabel...

– Mab, mamó. – Może i była skazana na nazwisko Churt, ale na pewno nie zamierzała znosić na dokładkę cholernejszej Mabel. Brnąc przez *Romea i Julię* (pozycja 23 na liście), natrafiła na słowa Merkucja:

* ATS – Auxiliary Territorial Service – Pomocnicza Służba Terytorialna (przyp. tłum.).

** WRNS – Women’s Royal Naval Service – kobieca organizacja pomocnicza w brytyjskiej marynarce wojennej (przyp. tłum.).

„Pewnie widziałeś Mab, królową wrózek!”*, i natychmiast to wyłowiła. „Królowa Mab”. Jak dziewczyna nosząca perły, kupująca młodszej siostrze kucyka i poślubiająca dżentelmena.

Nie żeby Mab fantazjowała o księżętach w przebraniu albo o milionerach z jachtami na Morzu Śródziemnym – życie to nie powieść w rodzaju *Rebeki*. Żaden tajemniczy zamożny bohater nie zamierzał zawrócić w głowie dziewczynie z Shoreditch, bez w względu na to, jak byłaby odczytana. Ale dżentelmen, jakiś miły, dobrze sytuowany mężczyzna z przyzwoitym wykształceniem i dobrym zawodem – tak, taki mąż był w jej zasięgu. Gdzieś tam na nią czekał. Mab musiała go tylko spotkać.

– Mab! – Jej matka z rozbawieniem pokręciła głową. – Za kogo ty się uważasz?

– Za kogoś, komu powiedzie się lepiej niż Mabel.

– Ty i to twoje „lepiej”. Nie zadowala cię to, czym zadowala się reszta z nas?

Nie – pomyślała Mab, mając jednak wystarczająco dużo rozumu, by nie mówić tego na głos, ponieważ już zdążyła się przekonać, że ludzie nie lubią, gdy chcesz czegoś więcej, niż masz. Dorastała jako piąte z sześciorga dzieci ściśniętych w tym małym mieszkaniu cuchnącym smażoną cebulą i żalem, z toaletą, którą trzeba było dzielić z dwiema innymi rodzinami – niech ją szlag, jeśli kiedykolwiek będzie się tego wstydziła, ale niech ją szlag po dwakroć, jeśli miało jej to wystarczyć. Czy to takie straszne chcieć czegoś więcej niż praca w fabryce aż do zamążpójścia? Chcieć od męża czegoś więcej, niż by był tylko jednym z robotników w miejscowej fabryce, który prawdopodobnie piłby za dużo, aż w końcu w ogóle by uciekł tak jak tata Mab? Mab nigdy nie próbowała tłumaczyć

* W. Shakespeare, *Romeo i Julia*, [w:] tegoż, *Tragedie i kroniki*, przeł. S. Barańczak, Kraków 2013, s. 35.

członkom swojej rodziny, że mogliby żyć lepiej; nie przeszkadzało jej, że są zadowoleni z tego, co mają, więc dlaczego oni nie chcieli jej zostawić w spokoju?

– Myślisz, że jesteś za dobra, żeby iść do pracy? – spytała zaczepnie jej matka, gdy Mab protestowała, nie chcąc kończyć nauki w wieku czternastu lat. – Tyle dzieci do wykarmienia, a wasz ojciec odszedł...

– Nie jestem za dobra, żeby iść do pracy – odparowała wtedy Mab. – Ale zamierzam pracować po coś. – Już jako czternastolatka, zatrudniwszy się w sklepie spożywczym, gdzie unikała sprzedawców, którzy szczykali ją w tyłek, wybiegała myślami do przodu. Zdobyła posadę ekspedientki i studiowała sposób mówienia oraz ubierania się lepszych klientów. Nauczyła się odpowiednio poruszać, patrzeć ludziom w oczy. Po rocznej obserwacji dziewczyn stojących za ladą w Selfridges weszła przez te dwuskrzydłowe drzwi przy Oxford Street ubrana w tani kostium i porządne buty, na które wydała pół rocznej pensji, i zdobyła pracę polegającą na sprzedawaniu puderniczek i perfum.

– Ty to masz szczęście – powiedziała mama, jakby nie wymagało to od Mab żadnego wysiłku.

A Mab nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa – bynajmniej. Właśnie za uciulane pieniądze skończyła kurs sekretarski i przed swoimi dwudziestymi drugimi urodzinami na początku przyszłego roku zamierzała zasiąść przy jakimś lśniąącym biurku i notować dyktowane zdania w otoczeniu ludzi mówiących: „Dzień dobry, panno Churt” zamiast: „Hej, Mabel!”

– Po co ci te wszystkie plany? – spytała matka. – Chcesz znaleźć jakiegoś elegancika, który zapłaci rachunek za kilka kolacji?

– Nie interesują mnie eleganciki. – Według Mab historie miłosne były dobre do powieści. Jej nie chodziło o miłość, w zasadzie nie chodziło jej nawet o małżeństwo. Dobry mąż to mógł być najszybszy sposób, by wspiąć się po drabinie ku bezpieczeństwu i dostatkowi,

lecz nie było to jedyne wyjście. Lepiej wieść życie starej panny przy lśniącym biurku i z wypłatą na koncie, zdobytą z dumą dzięki własnym staraniom, niż gdyby miała skończyć przedwcześnie rozczarowana i postarzała wskutek długich godzin spędzonych w fabryce i zbyt licznych porodów.

Wszystko było lepsze niż to.

Mab spojrzała na zegarek. Pora iść do pracy.

– Daj buziaka, Luce. Jak się czuje twój paluszek? – Mab obejrzała podsunięty knykieć, w który wczoraj wbiła się drzazga. – Wygląda jak nowy. Boże, ale się wymazałaś... – Wytarła policzki Lucy czystą chusteczką.

– Odrobina brudu jeszcze nikomu nie zaszkodziła – powiedziała pani Churt.

– Jak wrócę z pracy, przygotuję ci kąpiel. – Mab pocałowała Lucy, tłumiąc poirytowanie na matkę. *Po prostu jest zmęczona.* Mab wciąż się wzdygała na wspomnienie wściekłości, jaką wywołała u matki perspektywa niewczesnego powiększenia rodziny, która chlubiła się już pięciorgiem potomstwa. „Jestem za stara, żeby biegać za maluchami” – westchnęła matka, patrząc, jak Lucy pełźnie po podłodze niczym krab. Mimo to właściwie nie mogły zrobić w tej sprawie nic innego, jak tylko jakoś sobie z nią poradzić.

W każdym razie jeszcze tylko przez jakiś czas – pomyślała Mab. Gdyby trafił jej się dobry mąż, nakłoniłaby go przymilnie, żeby pomógł jej siostrze, i Lucy nie musiałyby porzucać nauki w wieku czternastu lat, żeby iść do pracy. Jeśliby dostała od męża to jedno, nie prosiłaby o nic więcej.

Zimno uderzyło ją w twarz, kiedy pospiesznie wyszła z mieszkania na ulicę. Do Bożego Narodzenia zostało pięć dni, lecz na razie nie padał śnieg. Minęły ją idące szybkim krokiem dwie dziewczyny w mundurach ATS i Mab zaczęła się zastanawiać, gdzie by się zaciągnęła, gdyby służba stała się obowiązkowa...

– Masz ochotę pospacerować, skarbie? – Jakiś gość w mundurze RAF-u wyrósł obok niej i szedł ramię w ramię. – Jestem na przepustce, zrób chłopakowi przyjemność.

Mab rzuciła mu spojrzenie, które opanowała do perfekcji w wieku czternastu lat: srogie, spod bardzo prostych, bardzo czarnych brwi, po czym przyspieszyła kroku. *Mogłabyś wstąpić do WAAF-u** – pomyślała, przypomniawszy sobie na widok munduru tego faceta, że Królewskie Siły Powietrzne mają żeńską służbę pomocniczą. Lepsze to niż wojenny przydział do prac rolnych i utknięcie przy przerzucaniu krowiego gówna w Yorkshire.

– Nie bądź taka, jak możesz tak traktować człowieka idącego na wojnę. Daj buzi...

Oplóła ją ręką w talii i ścisnął. Mab poczuła piwo i krem do włosów, a wtedy przez jej umysł przemknął cień paskudnego wspomnienia. Szybko odepchnęła je od siebie i z jej ust wydobył się głos, który przypominał warknięcie w większym stopniu, niż zamierzała.

– Odwał się...

Kopnęła pilota w goleń z szybką i brutalną skutecznością. Krzyknęła z bólu i zachwiał się na oblodzonym bruku. Mab oderwała jego dłoń od swojego biodra i ruszyła w stronę metra, nie zwracając uwagi na to, co za nią wykrzykiwał, i otrząsając się z nieprzyjemnych wspomnień. Sytuacja miała też jasne strony: może i na ulicach roiło się od żołnierzy niemogących utrzymać rąk przy sobie, lecz wielu chciało poprowadzić dziewczynę do ołtarza, a nie tylko do łóżka. Jeśli wojna przyniosła cokolwiek dobrego, to właśnie pospieszne śluby. Mab napatrzyła się już na nie w Shoreditch: panny młode mówiły słowa przysięgi małżeńskiej, nawet nie czekając na suknię ślubną z drugiej ręki, byleby tylko wsunąć obrączkę na palec, zanim narzeczeni pójdą

* WAAF – Women's Auxiliary Air Force – żeńska służba pomocnicza Królewskich Sił Powietrznych (przyp. tłum.).

na wojnę. A czytani dżentelmeni wyjeżdżali na wojnę równie szybko jak mężczyźni z Shoreditch. Mab z całą pewnością nie zamierzała twierdzić, że wojna to coś dobrego – czytała wiersze Wilfreda Owena i Francisa Graya, mimo że poezję wojenną uznano za zbyt niedelikatną do „Stu klasycznych dzieł literackich dla czytanej damy”. Musiałaby jednak być idiotką, by nie zdawać sobie sprawy, że wojna zmieni jej świat nie tylko z powodu wprowadzenia reglamentacji żywności.

Może ostatecznie wcale nie musiała zdobywać posady sekretarki. Może w Londynie znajdzie się jakieś wojenne zatrudnienie dla dziewczyny, która osiągnęła najlepsze wyniki w maszynopisanium i stenografii, jakaś posada, dzięki której Mab mogłaby wykonywać pracę na rzecz króla i ojczyzny, poznać jakiegoś miłego mężczyznę albo i dwóch, a do tego zadbać o rodzinę?

Drzwi sklepu otworzyły się z hukiem, ze środka dało się słyszeć krótki fragment *The Holly and the Ivy* płynący z radia. Mab pomyślała, że Boże Narodzenie w 1940 roku może wyglądać zupełnie inaczej. Coś musiało się zmienić.

Wojna oznaczała zmianę.

2

Potrzebuję pracy. Tak brzmiała pierwsza myśl Osla po powrocie do Anglii pod koniec 1939 roku.

– Kochana, nie powinnaś być w Montrealu? – zawołała jej przyjaciółka Sally Norton. Osla i czcigodna Sarah Norton miały wspólnego ojca chrzestnego i zostały przedstawione na dworze w odstępie jednego sezonu. Sally była pierwszą osobą, do której zadzwoniła Osla,

gdy jej stopa ponownie dotknęła angielskiej ziemi. – Myślałam, że po wybuchu wojny matka wysłała cię do kuzynostwa.

– Sal, czy myślisz, że cokolwiek mogłoby mnie powstrzymać od wykombinowania, jak wrócić do domu? – Minęło półtora miesiąca, zanim kipiąca ze złości Osla zdołała uknuć plan ucieczki, po tym jak matka wyekspediowała ją do Montrealu. Odrobina bezwstydnego flirtowania z kilkoma wpływowymi mężczyznami, by zdobyć pozwolenie na podróż, parę pomysłowych kłamstewek dla kanadyjskiego kuzynostwa, szczypta oszustwa – ten bilet na lot z Montrealu do Lizbony znacznie lepiej pasował do Osli niż do swojego pierwszego właściciela – i jeden rejs z Portugalii później, *voilà*. „Żegnaj, Kanado!” – zaśpiewała Osla, wrzucając kuferek podróżny do taksówki. Może i urodziła się w tym kraju, lecz nie pamiętała niczego sprzed przyjazdu do Anglii w wieku czterech lat, gdy podążała za świeżo rozwiedzioną matką razem z walizami i skandalem. Kanada była piękna, ale to w Anglii czuła się jak w domu. Lepiej być bombardowanym w domu wśród przyjaciół, niż bezpiecznie rdzewieć na emigracji.

– Potrzebuję pracy – oznajmiła, zwracając się do Sally. – To znaczy najpierw potrzebuję fryzjera, bo na tym odrażającym statku z Lizbony dostałam wszawicy i wyglądam jak kupka nieszczęścia. A potem potrzebuję pracy. Mama tak się wściekła, że obcięła mi fundusze, czemu zresztą wcale się nie dziwię. Poza tym musimy zewrzeć poślady, jak mawiają jankesi, i wnieść jakiś wkład w działania wojenne. – „Wyspa berłowładna”^{*} w potrzebie i tak dalej. Nie można było wylecieć z tyłu szkół z internatem co Osla Kendall i nie podłapać choćby trochę Szekspira.

– Wrenki...

– Nie gadaj bzdur, Sal, wszyscy oczekują, że takie dziewczyny jak my będą się zaciągały do wrenek. – Oslę wystarczająco wiele razy

* W. Shakespeare, *Król Ryszard II*, przeł. L. Ulrich, Kraków 1895, s. 24.

nazwano „głupiutką debiutantką”, żeby zabolalo (oraz trajkoczącą ślicznotką, szampańską cizią, bezmyślną lalunią z Mayfair). Cóż, ta lalunia z Mayfair zamierzała wszystkim pokazać, że dziewczyna z towarzystwa też potrafi ubrudzić sobie ręce. – Zgłoszmy się do Armii Rolnej. Albo do produkcji samolotów, co ty na to?

– Masz jakiegokolwiek pojęcie o produkcji samolotów? – spytała ze śmiechem Sally. Takie samo pytanie zadał powątpiewający kierownik fabryki Hawker Siddeley w Colnbrook, do której zgłosiły się kilka dni później.

– Umieć wyjąć palec rozdzielacza z samochodu, żeby w razie inwazji nie ukradły go szkopy – odparła zuchwale Osla. I ani się obejrzała, jak ubrali ją w kombinezon roboczy, by przez osiem godzin dziennie nawiercała otwory w fabrycznej sali szkoleniowej ramię w ramię z piętnastoma innymi dziewczynami. Może i praca była nudna, ale wypłacano jej pensję i pierwszy raz w życiu była niezależna.

– Myślałam, że będziemy pracowały przy spitfire'ach i flirtowały z pilotami – narzekała Sally w sylwestra, stojąc po drugiej stronie stołu warsztatowego. – A nie tylko wierciły, wierciły, wierciły.

– Nie gderaj – upomniał ją instruktor, który przypadkiem to usłyszał. – Nie zapominaj, że jest wojna!

Osla zauważyła, że wszyscy to powtarzają. Skończyło się mleko? *Jest wojna!* Poszło ci oczko w pończosze? *Jest wojna!*

– Nie mów mi, że nie gardzisz tą robotą – mruknęła Sally, tłukąc w arkusz duraluminium, i Osla spojrzała z nienawiścią na swój. Duraluminium tworzyło wierzchnią warstwę hurricanów, którymi latały eskadry RAF-u (o ile eskadry RAF-u w ogóle wykonywały jakieś misje na tej wojnie, na której nic się nie działo), i dwa ostatnie miesiące upłynęły Osli na uczeniu się, jak je przewiercać, opiłowywać i nitować. Metal stawiał opór, pluł i wytwarzał opiłki pokrywające jej włosy i nos tak grubą warstwą, że woda w kąpeli zmieniała kolor

na szary. Nie wiedziała, że można żyć tak głęboką urazę do stopu metali, lecz właśnie tak było.

– Lepiej, żebyś ocalił życie jakiemuś czarującemu pilotowi RAF-u, kiedy już cię przyczepią do boku hurrican'a – powiedziała do arkusza metalu, mierząc do niego z wiertarki niczym rewolwerowiec w filmie o kowbojach.

– Dzięki Bogu, że mamy dziś wieczorem wolne z okazji sylwestra – zauważyła Sally, gdy zegar pokazał wreszcie szóstą wieczorem i wszyscy ruszyli w stronę drzwi. – Jaką przygotowałaś sukienkę?

– Z zielonego ałtasu. Mogę się w nią wślizgnąć w apartamencie matki w Claridge's.

– Wybaczyła ci, że dałaś nogę z Montrealu?

– Mniej więcej. Ostatnio jest uszczęśliwiona, bo ma nowego chłopaka. – Osla miała tylko nadzieję, że nowy chłopak nie stanie się ojczymem numer cztery.

– A skoro mowa o wielbicielach, jest pewien fantastyczny facet, któremu obiecałam cię przedstawić. – Sally rzuciła Oslę figlarne spojrzenie. – Dobra partia.

– Lepiej, żeby miał ciemne włosy. Blondynom zwyczajnie nie można ufać.

Wybiegły ze śmiechem przez bramę fabryki ku drodze. Miały tylko jedną wolną dobę co osiem dni, więc nie było sensu marnować ani minuty z tego cennego czasu na powrót do kwatery. Od razu złapały podwózkę do Londynu bardzo starym alvisem z osłonami na reflektorach mającymi spełniać wymogi związane z zaciemnieniem. Jechali nim dwaj porucznicy, którzy już byli solidnie wstawieni. Gdy alvis zajechał przed Claridge's, wszyscy śpiewali *Anything Goes*, a ponieważ Sally została z porucznikami, żeby dalej flirtować, Osla sama wbiegła po schodach, kierując się w stronę portiera, który od lat był dla niej kimś w rodzaju kamerdynera, wujka i osobistego sekretarza w jednym.

- Dzień dobry, panie Gibbs.
- Dobry wieczór, panno Kendall. Jest pani w mieście z panną Norton? Pytał o nią lord Hartington.

Osla ściszyła głos.

- Sally mnie z kimś swata. Wspominała coś panu?
- Owszem, wspominała. Ten dżentelmen jest już w środku: główny hol, mundur kadeta Królewskiej Marynarki Wojennej. Mam mu powiedzieć, że zejdzie pani za godzinę, gdy się pani przebierze? – spytał dyskretnie pan Gibbs.

- Jeśli nie pokocha mnie w kombinezonie, nie jest wart tego, że bym się dla niego stroiła. – Sally właśnie podbiegła i zaczęła wypytywać Gibbsa o Billy'ego Hartingtona, więc Osla weszła do środka. Całkiem jej się podobały zniesmaczone spojrzenia mężczyzn we frakach i kobiet w atłasowych sukniach, gdy przemykała w brudnym kombinezonie po podłodze w stylu art déco. *Spójrzcie na mnie!* – miała ochotę zawołać. – *Właśnie jestem po ośmiu godzinach pracy w fabryce samolotów i teraz zamierzam tańczyć kongę w Café de Paris do białego rana. Spójrzcie na mnie, jestem Osla Kendall, mam osiemnaście lat i wreszcie mogę się do czegoś przydać!*

Zauważyła go, w mundurze kadeta, przy barze. Był odwrócony w drugą stronę, więc nie widziała jego twarzy.

- Nie jesteśmy przypadkiem umówieni? – spytała, zwracając się do całkiem okazałych barków. – Pan Gibbs mówi, że tak, a każdy, kto kiedykolwiek był w Claridge's, wie, że pan Gibbs nigdy się nie myli.

Odwrócił się i od razu pomyślała: *Sally, ty szujo, mogłaś mnie ostrzec!* Nie, w zasadzie to była jej druga myśl. Pierwsza była taka, że choć nigdy wcześniej go nie spotkała, doskonale wiedziała, kim jest. Widywała jego nazwisko w „Tatlerze” i „Bystanderze”; wiedziała, z jakiej rodziny pochodzi i w jakim stopniu jest spokrewniony z królem. Wiedziała, że jest dokładnie w jej wieku, służy jako kadet w Dartmouth i po wybuchu wojny przybył z Aten na prośbę króla.

– Ty musisz być Osla Kendall – powiedział grecki książę Filip.
– Muszę? – Powstrzymała odruchową chęć przyglądzenia włosów. Gdyby wiedziała, że idzie na randkę z księciem, poświęciłaby chwilę i wycesała z loków opiłki duraluminium.

– Pan Gibbs powiedział, że zjawisz się mniej więcej o tej porze, a pan Gibbs nigdy się nie myli. – Książę oparł się o bar. Miał złocistą opaleniznę, włosy lśniące jak monety, oczy bardzo niebieskie i bezpośrednie. Spojrzał na jej brudny kombinezon i lekko się uśmiechnął. *Ojej* – pomyślała Osla. – *Co za uśmiech*. – Absolutnie oszałamiająca kreacja – powiedział. – Tak się noszą dziewczyny w tym sezonie?

– Tak się nosi Osla Kendall w tym sezonie. – Stała w pozie z żurawki, postanawiając, że nie będzie żałowała zielonej atlasowej sukni, którą miała w torbie. – Nie można mnie „zamykać w nietrwałych ogrodzeniach miejscowych obyczajów”^{*}...

– *Henryk V* – powiedział natychmiast.

– Oooh, znasz się na Szekspirze.

– Wbili mi go trochę do głowy w Gordonstoun. – Skinął na barmana i obok łockia Osli pojawił się szeroki kieliszek z musującym szampanem. – W przerwach między pieszymi wędrówkami i żeglowaniem.

– To oczywiście, że żeglujesz...

– Dlaczego oczywiście?

– Wyglądasz jak wiking. Na pewno poświęcasz sporo czasu na wiosłowanie. Masz drakkara zaparkowanego za rogiem?

– Tylko vauxhalla wujka Dickiego. Przykro mi, jeśli cię rozczarowałem.

– Widzę, że dobrze wam się rozmawia – powiedziała ze śmiechem Sally, wślizgując się na miejsce obok nich. – Os, nasz ojciec chrzestny, lord Mountbatten, jest wujem Filipa, więc mamy ze sobą

* W. Shakespeare, *Henryk V*, [w:] tegoż, *Tragedie i kroniki*, przeł. S. Barańczak, Kraków 2013, s. 1432.

coś wspólnego. Wujek Dickie powiedział, że Filip nie zna nikogo w Londynie, i spytał, czy znalazłabym jakąś miłą dziewczynę, która mogłaby mu towarzyszyć...

– Miłą dziewczynę – jęknęła Osla, pociągając spory łyk szampana. – Nie ma nic bardziej dobijającego, niż zostać nazwaną „miłą dziewczyną”.

– Mnie nie wydajesz się miła – oznajmił książę.

– Prawda, że jesteś słodki? – Odchyliła głowę. – No więc jaka jestem?

– Jesteś najładniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem w kombiniezonie roboczym.

– Żałuj, że nie widziałeś, jak nituję spoinę.

– Wystarczy słowo, księżniczko.

– Idziemy tańczyć czy nie? – nadąsała się Sally. – Idź na górę i się przebierz, Os!

Książę Filip wpadł chyba na jakiś pomysł.

– A gdybym ci rzucił wyzwanie...

– Ostrożnie – ostrzegła Osla. – Ja się nie boję wyzwania.

– Słynie z tego – zaświadczyła Sally. – W szkole panny Fenton starsze dziewczyny nie wierzyły, że odważy się wsypać do majtek dyrektorki proszek powodujący swędzenie.

Filip spojrział na Oslę z wysokości swoich ponad stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu i znowu się uśmiechnął.

– Zrobiłaś to?

– Oczywiście. Potem ukradłam jej pas do pończoch, wspięłam się na dach kaplicy i powiesiłam go na krzyżu. Urządziła z tego powodu niezłą awanturę. Jakie wyzwanie chciałeś mi rzucić?

– Idź na bal w takim stroju, w jakim jesteś – powiedział książę. – Nie przebieraj się w żadne atłasy, które zapewne masz w tej torbie.

– Załatwione. – Osla wychyliła resztę szampana i wyszli ze śmiechem z głównego holu. Pan Gibbs puścił do Osli oko, gdy otwierał

drzwi. Zacerpnęła haust lodowatego, gwiazdzistego wieczoru – w czasie zaciemnienia widać było gwiazdy nad całym Londynem – i spojrzała przez ramię na księcia Filipa, który przystanął, żeby też odchylić głowę. Poczowała, jak szampan musuje jej we krwi, i sięgnęła do torby. – A wolno mi zmienić buty? – Wyjęła parę do tańca: zdobione połyskliwymi dżetami sandałki z zielonego atłasu. – Księżniczka nie może tańczyć kongi bez swoich szklanych pantofelków.

– Pozwalam. – Książę Filip wziął od niej sandałki, a następnie ujął jej dłoń i oparł ją na swoim ramieniu. – Ostrożnie... – Ukląkł na schodach prowadzących do Claridge's, by rozsznurować buty Osi, zaczekał, aż wyjmie z nich stopy, a potem zsunął wełniane skarpety. Włożył jej na nogi sandałki. Jego opalone palce odznaczały się na tle jej białych kostek w lekkim blasku księżycy. Po chwili podniósł głowę. Jego oczy spowijał cień.

– Och, litości. – Osla uśmiechnęła się, patrząc w dół. – Z iloma dziewczynami próbowałeś tego numeru, marynarzu?

On też się roześmiał, nie będąc w stanie utrzymać poważnej miny. Śmiał się tak bardzo, że o mało się nie przewrócił. Jego czoło na chwilę zbliżyło się do kolana Osi, a wtedy odruchowo dotknęła jego jasnych włosów. Wciąż oplatała jej kostkę palcami, ciepłymi w zimny wieczór. Zauważyła, że przechodnie gapią się na dziewczynę w kombinezonie roboczym na schodach najlepszego hotelu w Mayfair, przed którą klęczał mężczyzna w mundurze marynarki wojennej, i żartobliwie trzepnęła Filipa w ramię.

– Dość tej adoracji.

Wstał.

– Jak sobie życzysz.

Wbiegli lekkim krokiem po wyłożonych drogą wykładziną schodach Café de Paris i tańczyli w tym podziemnym klubie aż do Nowego Roku.

– Nie wiedziałam, że w Grecji znają fokstrota! – zawołała Osla, przekrzykując ryk puzonów i wirując w ramionach Filipa. Tańczył szybko i z pasją.

– Nie jestem Grekiem... – Okręcił ją i Osli brakowało tchu, żeby kontynuować rozmowę, dopóki muzyka nie zwolniła, przechodząc w nastrojowego walca. Filip zmienił tempo, przeczesał palcami zmierzwione włosy i jedną ręką ujął Oslę w talii. Podała mu dłoń i z łatwością złapali rytm.

– Jak to nie jesteś Grekiem? – spytała, gdy pary wokół nich odbijały się od siebie ze śmiechem. W Café de Paris panowała intymna atmosfera, z jaką nie mógł się równać żaden inny klub nocny w Londynie, być może dlatego, że lokal znajdował się siedem metrów pod ziemią. Tu muzyka zawsze wydawała się głośniejsza, szampan zimniejszy, krew gorętsza, a szept bardziej bezpośrednio.

Filip wzruszył ramionami.

– Wyniesiono mnie z Korfu w skrzynce na owoce, zanim skończyłem rok. Horda rewolucjonistów deptała nam po piętach. Spędziłem tam niewiele czasu, słabo znam język i nie będę miał żadnego powodu, żeby poznać go lepiej.

Miała na myśli to, że nie zostanie królem. Wiedziała o tym. Miała jako takie pojęcie o tym, że grecka rodzina królewska odzyskała władzę, lecz Filip był daleko w kolejce do tronu, a dzięki angielskiemu dziadkowi oraz angielskiemu wujowi wyglądał i brzmiał jak każdy monarszy kuzyn.

– Brzmisz bardziej angielsko niż ja.

– Ty jesteś Kanadyjką...

– ...i żadna z dziewczyn, z którymi bywałam na królewskim dworze, nie pozwalała mi o tym zapomnieć. Ale do dziesiątego roku życia mówiłam z niemieckim akcentem.

– Jesteś szkopskim szpiegiem? – Uniósł brew. – Nie znam żadnych tajemnic wojskowych, dla których warto byłoby mnie uwieść, ale mam nadzieję, że to cię nie zniechęci.

– Jak na księcia jesteś bardzo źle wychowany. Wręcz koszmarnie.
– Jak wszyscy najlepsi. Skąd ten niemiecki akcent?
– Moja matka rozwiodła się z ojcem i przyjechała do Anglii, kiedy byłam mała. – Osla wykonała obrót pod dłoń Filipa, po czym wróciła w zagłębienie jego ramienia. – Zainstalowała mnie na wsi z niemiecką guwernantką. W poniedziałki, środy i piątki mówiłam wyłącznie po niemiecku, a we wtorki, czwartki i soboty wyłącznie po francusku. Do rozpoczęcia szkoły z internatem mówiłam po angielsku tylko jeden dzień w tygodniu, ale zawsze z niemieckim akcentem.
– Kanadyjka, która brzmi jak Niemka i mieszka w Anglii. – Filip przeszedł na niemiecki. – Który kraj rości sobie prawa do serca Osi Kendall?

– *England für immer, mein Prinz* – odrzekła Osla, po czym przeszła z powrotem na angielski, zanim naprawdę oskarżono by ich o szpiegowanie na rzecz szkopów w sali pełnej podchmielonych londyńskich patriotów. – Doskonale mówisz po niemiecku. Posługiwałeś się nim w domu?

Roześmiał się, lecz w jego śmiechu zabrzmiała jakaś ostra nuta.

– Co masz na myśli, mówiąc „w domu”? Teraz śpię na łóżku polowym w jadalni wujka Dickiego. Mój dom jest tam, gdzie mnie zaproszą albo gdzie mam jakiegoś kuzyna.

– Wiem, jak to jest.

Chyba powątpiewał.

– Aktualnie dzielę kwaterę z Sally. Wcześniej mieszkałam u okropnych kuzynów w Montrealu, którzy mnie tam nie chcieli. Jeszcze wcześniej ojciec chrzestny przygarnął mnie do siebie na czas sezonu. – Osla wzruszyła ramionami. – Moja matka ma stały apartament w Claridge's, gdzie jestem *de trop*, jeśli zabawię dłużej niż jedną noc, a ojciec zmarł wiele lat temu. Nie potrafiłabym powiedzieć, gdzie jest mój dom. – Uśmiechnęła się bardzo pogodnie. – Ale z pewnością nie zamierzam się tym przejmować! Wszyscy moi przyjaciele, którzy

wciąż mieszkają w domu rodzinnym, marzą o tym, żeby się stamtąd wydostać, więc komu najbardziej dopisało szczęście?

– Teraz? – Dłoń Filipa zacisnęła się na jej talii. – Mnie.

Przez chwilę tańczyli w milczeniu walca, ich ciała poruszały się z doskonałą łątwością. Parkiet lepił się od rozlanego szampana, orkiestra się spóźniała. Dochodziła czwarta rano, ale w klubie wciąż było pełno ludzi. Nikt nie chciał przestać tańczyć – Osla też nie. Spojrzała nad ramieniem Filipa i zobaczyła plakat przypięty do ściany. Jeden z tych wszechobecnych zwycięskich plakatów, które wyrastały w całym Londynie jak grzyby po deszczu: *POKONAMY ICH A POTEM POKONAMY ICH JESZCZE RAZ!*

– Chciałabym, żeby ta wojna zaczęła się wreszcie na dobre – powiedziała Osla. – To czekanie... Doskonale wiemy, że w końcu po nas przyjdą. Jakaś część mnie marzy o tym, żeby po prostu to zrobili. Im szybciej się zacznie, tym szybciej się skończy.

– Chyba tak – powiedział oschle i przesunął głowę, tak że jego policzek znalazł się obok jej włosów i przestali patrzeć sobie w oczy. Osla pożałowała swoich słów. Łatwo było mówić, że chciałoby się, by wojna się rozkręciła, gdy należało się do słabszej płci i nie musiało w niej walczyć. Osla uważała, że każdy powinien walczyć za króla i ojczyznę, lecz poza tym miała świadomość, że to czysto teoretyczne stanowisko, jeśli jest się kobietą.

– Bardzo chcę walczyć – powiedział Filip do włosów Osli, jakby czytał w jej myślach. – Wyplłynąć na morze, zrobić, co do mnie należy. Przede wszystkim po to, żeby ludzie przestali się zastanawiać, czy w głębi serca nie jestem szkopem.

– Co?

– Trzy z moich siostr wyszły za nazistów. Nie żeby byli nazistami, kiedy się... W każdym razie chciałbym zamknąć usta tym, którzy uważają, że jestem trochę podejrzany z powodu sympatii mojej rodziny.

– Ja chciałabym zamknąć usta tym, którzy uważają, że beztraska debiutantka nie może się na nic przydać. Wyływasz niedługo?

– Nie wiem. Gdyby to zależało ode mnie, byłbym na okręcie już jutro. Wujek Dickie robi co w jego mocy. Może wypłynę w przyszłym tygodniu, a może za rok.

Niech to będzie za rok – pomyślała Osla, czując pod dłonią jego twarde, kanciaste ramię.

– Więc ty będziesz polował na U-Booty, a ja będę wbijała nity w Slough. Całkiem nieźle jak na głupiotką bywalczynię salonów i nie-co podejrzanego księcia.

– Mogłabyś robić coś więcej, niż wbijać nity. – Przynął ją bliżej, nie odrywając policzka od jej włosów. – Pytałaś wujka Dickiego, czy w Ministerstwie Wojny jest coś dla dziewczyny znającej tyle języków?

– Wołałabym budować hurricane'y, ubrudzić sobie ręce. Zajmować się czymś ważniejszym dla walki niż uderzaniem w klawisze maszyny do pisania.

– Walka... Czy to dlatego dałaś nogę z Montrealu?

– Jeśli twoja ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, a ty jesteś w odpowiednim wieku, żeby stanąć w jej obronie, to stajesz – oświadczyła Osla. – Nie czerpiesz korzyści ze swojego kanadyjskiego paszportu...

– Ani z greckiego...

– ...żeby zadekować się w bezpieczniejszej przystani. Tak się po prostu nie robi.

– W pełni się z tobą zgadzam.

Walc się skończył. Osla odsunęła się, spojrzała na księcia.

– Powinam wracać do kwatery – powiedziała z żalem. – Jestem skonana.

Filip zawiózł Oslę i ziewającą Sally z powrotem do Old Windsor, prowadząc równie energicznie, jak tańczył. Pomógł Sally wysiąść

z tylnego siedzenia, a ona zaspana cmoknęła go w policzek i ruszyła ciemną ulicą. Po chwili Osla usłyszała plusk i okrzyk, po czym Sally zawołała zrozpaczonym tonem:

– Uważaj na buty, Os, przed naszymi drzwiami zrobiło się jezioro...

– Lepiej włożę z powrotem buty z cholewami – roześmiała się Osla, szykując się do zdjęcia połyskliwych sandałów, lecz wtedy Filip chwycił ją w ramiona.

– Nie możesz narażać na szwank szklanych pantofelków, księżniczko.

– Och, doprawdy – zadrwiła Osla, obejmując go za szyję. – Czy ty aby nie przesadzasz z tą rycerskością, marynarzu?

Prawie czuła jego uśmiech, gdy niósł ją w ciemności. Jej buty i torba podręczna kołysały się obok jego pleców, zawieszona na jej łokciu. Pachniał płynem po goleniu i szampanem. Jego włosy były potargane i spocone od tańca, kręciły się lekko tuż przy jej dłoniach splecionych na jego karku. Przeszedł z pluskiem przez kałużę i zanim zdążył postawić Oslę na progu, musnęła jego usta swoimi.

– No i mamy to już za sobą – powiedziała żartobliwym tonem. – Oszczędziłam nam tego koszmarnie krępującego zastanawiania się, czy to zrobimy, czy nie.

– Jeszcze żadna dziewczyna nie pocałowała mnie po to, żeby mieć to już za sobą. – Uśmiechnął się, wciąż trzymając usta tuż przy jej ustach. – Przynajmniej zrób to, jak należy...

Pocałował ją drugi raz, długo i niespiesznie, wciąż trzymając ją w ramionach. Smakował jak błękitne, ogrzane słońcem morze i w pewnym momencie Osla upuściła swoje buty do kałuży.

W końcu postawił ją na progu i stali w ciemności, a Osla przez chwilę nie mogła złapać tchu.

– Nie wiem, kiedy wypłynę – powiedział w końcu. – Ale zanim to nastąpi, chciałbym się jeszcze z tobą spotkać.

– Mam tu niewiele do roboty. Kiedy nie walimy z Sal w duraluminium, jemy owsiankę i zbijamy bąki, słuchając płyt na gramofonie. Nuda.

– Wątpię, żebyś była aż tak nudna. Przypuszczam, że jest wręcz odwrotnie. Założę się, że trudno cię zapomnieć, Oslo Kendall.

Wiele lekkich, kokieteryjnych odpowiedzi cisnęło jej się na usta. Flirtowała całe życie, instynktownie, defensywnie. *Ty też grasz w tę grę* – pomyślała, patrząc na Filipa. – *Bądź czarujący dla wszystkich, żeby nikt się za bardzo nie zbliżył. Zawsze znaleźli się ludzie pragnący zbliżyć się do ładnej brunetki, której ojciec chrzestny był lordem Mountbattenem, a rodzony ojciec zostawił górę akcji Canadian National Railways. Osla była skłonna się założyć, że jeszcze więcej ludzi pragnęło się zbliżyć do przystojnego księcia, nawet jeśli był skażony nazistowskimi szwagarami.*

– Wpadnij, kiedy tylko zechcesz, Filipie – powiedziała po prostu, nie bawiąc się w żadne gierki, i poczuła łomotanie swojego serca, gdy dotknął krawędzi czapki i ruszył z powrotem w stronę vauxhalla. Zaczął się 1940 rok, a ona przetańczyła sylwestra z księciem, ubrana w kombinezon roboczy i ałasowe sandaalki. Zastanawiała się, co jeszcze przyniesie ten rok.

3

Czerwiec 1940

Mab robiła co w jej mocy, żeby zniknąć za wypożyczonym z biblioteki *Targowiskiem próżności*, ale nawet Becky Sharp wyrzucająca słownik przez okno powozu nie zdołała skupić jej uwagi, gdy pociąg

wyjeżdżający z Londynu był tak zatłoczony i gdy mężczyzna siedzący naprzeciw niej dogadzał sobie przez kieszeń spodni.

– Jak ci na imię? – zanucił półgłosem, gdy Mab wtaszczyła do środka brązową kartonową walizkę. Rzuciła mu najbardziej lodowate ze swoich spojrzeń. Został zmuszony do przesunięcia się, gdy przedział wypełnił się umundurowanymi mężczyznami, z których większość przyszła zapewne z nadzieją za oszałamiającą brunetką w płaszczu obszytym futerkiem. Kiedy jednak pociąg z terkotem zmierzał ku północy, oddalając się od Londynu, żołnierzy ubywało z każdą kolejną stacją, aż w końcu zostały tylko Mab oraz ta brunetka i brandzłownik znowu zaczął swoją śpiewkę.

– Uśmiechnij się, kochanie!

Mab nie zwracała na niego uwagi. Na podłodze przedziału leżała gazeta naznaczona błotnistymi śladami butów i na nią także starała się nie zwracać uwagi – nagłówek obwieszczał katastrofę pod Dunkierką.

– Będziemy następni – stwierdziła matka Mab, gdy upadały kolejno Dania, Norwegia, Belgia i Holandia, niczym głązy turlające się nieuchronnie z klifu. Potem upadła przeklęta Francja i pani Churt pokręciła głową z jeszcze posępniejszą miną. „Będziemy następni” – mówiła każdemu, kto miał ochotę słuchać, aż Mab warknęła: „Mamo, czy mogłabyś nie mówić o mordujących, gwałcących szkopach ani o tym, co nam zrobią?”. Wybuchła okropna kłótnia, pierwsza z wielu, odkąd Mab spróbowała przekonać matkę, żeby zabrała Lucy i wyjechała z Londynu. „Tylko na jakiś czas” – zaznaczała, na co matka odparowała: „Wyjadę z Shoreditch, ale nogami do przodu, w trumnie”.

Awantura, jaka wybuchła po tych słowach, była tak straszna, że w sumie dobrze się złożyło, że w ubiegłym tygodniu Mab dostała to dziwne wezwanie, w którym wspomniano o posiadzie w Buckinghamshire. Lucy chyba nie do końca rozumiała, że Mab wyjeżdża.

Gdy Mab uściskała ją rano przed wyjściem z domu, mała po prostu przechyliła głowę i powiedziała: „Wieczorem!”, co miało znaczyć: „Do zobaczenia wieczorem!”

Nie zobaczymy się wieczorem, Luce. Mab jeszcze nigdy nie opuściła Lucy na noc, ani razu.

No cóż, zamierzała przyjechać pociągiem do Londynu, gdy tylko dostanie wolne. Bez względu na to, jaka posada na nią czekała, musiały być jakieś dni wolne od pracy, nawet w czasie wojny. Zresztą może warunki zamieszkania w – jak się nazywało to miasteczko? – okażą się wystarczająco przyzwoite, by sprowadzić rodzinę na prowincję. Lepiej żyć na pustkowiu wśród zielonych pól niż w Londynie, na której niebawem spadną bomby... Mab zadrżała i wróciła do lektury *Targowiska próżności*, gdzie Becky Sharp też jechała do nowej pracy na wsi i chyba nie za bardzo przejmowała się tym, że trwa inwazja na jej ojczyznę. Tyle że w czasach Becky najeżdźcą był Napoleon, a Napoleon nie miał przeklętych messerschmittów, prawda?

– Jak ci na imię, złotko? – Brandzłownik skupił się na drobnej brunetce w płaszczu obszytym futerkiem, będącej teraz jedyną pasażerką w przedziale oprócz Mab. Jego dłoń zaczęła poruszać się w kieszeni. – Wystarczy mi jeden uśmiech, moja piękna...

Brunetka podniosła wzrok znad książki, zarumieniła się i Mab zaczęła się zastanawiać, czy nie będzie musiała interweniować. Zazwyczaj trzymała się sztywnej londyńskiej zasady niewtrącania się do cudzych spraw, lecz brunetka wyglądała jak jagniątko zagubione w lesie. Należała do tych kobiet, do których Mab miała lekki żal i którym jednocześnie zazdrościła: ubranych w drogie ciuchy, z wypiełgowaną cerą opisywaną w egzaltowanych powieściach słowem „alabastrowa” oraz kieszonkową figurą, jaką pragnęły mieć wszystkie kobiety i jakiej pragnęli skosztować wszyscy mężczyźni. Krótko mówiąc, była produktem chowu wsobnego, głupiutką lalunią, która dorastała, jeżdżąc na kucykach, i nie musiałaby kiwnąć palcem, żeby

zdobyć męża posiadającego środki i wykształcenie, lecz poza tym była zupełnie bezużyteczna. Każda dziewczyna z Shoreditch umiałaby sobie poradzić z takim rozpustnikiem z pociągu, ale tej laleczce niechybnie groziło pożarcie.

Mab odłożyła zamaszycie *Targowisko próżności*, poirytowana brandzłownikiem i w pewnym stopniu także brunetką wymagającą ocalenia. Zanim jednak zdążyła warknąć: „Słuchaj no, ty...”, odezwała się brunetka.

– O mój Boże, niech pan tylko spojrzy na ten namiot w pana spodniach! Nie powiem, żebym kiedykolwiek widziała coś równie oczywistego. Większość facetów wykonuje na tym etapie jakiś niezwykle pomysłowy manewr z kapeluszem.

Dłoń mężczyzny zastygła. Brunetka przechyliła głowę i niewinnie wytrzeszczyła oczy.

– Coś się stało? Chyba pana nie boli, prawda? Faceci zawsze wyglądają w tym momencie, jakby bardzo cierpieli, ale niech mnie gęś kopnie, jeśli wiem dlaczego...

Mab zauważyła, że brandzłownik zrobił się czerwony jak burak i wyjął rękę z kieszeni.

– Ale może potrzebuje pan lekarza? Wygląda pan jak istny wrak człowieka...

Mężczyzna uciekł z przedziału.

– Szybkiego powrotu do zdrowia! – zawołała za nim drobna brunetka, po czym z błyskiem w oku spojrzała na Mab. – No to mamy go z głowy. – Z wyraźnym zadowoleniem założyła jedną nogę w pończosze na drugą.

– Dobra robota – pochwaliła, chcąc nie chcąc, Mab. Wyglądało na to, że jednak nie ma do czynienia z taką łatwą do pożarcia laleczką, nawet jeśli dziewczyna wyglądała na nie więcej niż osiemnaście lat. – Jeśli muszę się pozbyć takiego typu, polegam na porządnym lodowatym spojrzeniu albo na kopniaku w goleń.

– Nie potrafiłabym spojrzeć lodowato, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Moja twarz jest po prostu niezdolna do patrzenia wilkiem. Jeśli próbuję, mówią mi, że wyglądam „uroczo”, a nic tak nie doprowadza do szału jak usłyszenie, że wyglądasz „uroczo”, kiedy jesteś wściekła. Za to ty jesteś wysoka i masz brwi jak cesarzowa, więc twoje mordercze spojrzenia na pewno robią wielkie wrażenie, prawda? – Przechyliła zachęcająco głowę.

Mab już miała z powrotem skupić się na książce, lecz nie zdołała się oprzeć. Unosząc brew, spojrzała pogardliwie i wykrzywiła usta.

– To dopiero pierwszorzędnego spojrzenie mrozącej krew w żyłach! – Brunetka wyciągnęła rękę. – Osla Kendall.

Mab uściśnęła jej dłoń, wyczuwając ze zdziwieniem odciski.

– Mab Churt.

– Mab. Brzmi szalowo – stwierdziła z aprobatą Osla. – Obstawiałam Boudikę albo Scarlett O’Harę, kogoś, kto umiałby powozić rydwanem ze sztyletami albo strzelać do Jankeśów na klatkach schodowych. Ja jestem skazana na Oslę, ponieważ moja matka pojechała do Oslo i stwierdziła, że to miasto jest tak skończenie, skończenie boskie. Miała na myśli to, że zostałam tam poczęta. Teraz więc noszę imię na cześć miasta, w którym roi się od Niemców, i próbuję nie traktować tego jak wróżby.

– Mogło być gorzej. Co, gdybyś została poczęta w Birmingham? – Mab wciąż próbowała zrozumieć, skąd na dłoniach tej dziewczyny wzięły się odciski kontrastujące z jej akcentem z Mayfair. – Na pewno nie dorobiłaś się tych odcisków w prywatnej szkole dla dziewcząt.

– Budowałam hurricanę w fabryce Hawker Siddeley w Colnbrook. – Osla zasalutowała. – Kto wie, co przyjdzie mi robić teraz. Wezwano mnie na rozmowę w Londynie, a potem przyszedł pocztą przedziwny dokument nakazujący mi stawić się na stacji w Bletchley...

– Też się tam wybieram. – Zaskoczona Mab wyjęła z torebki list, który bardzo ją zaskoczył, kiedy przyszedł do Shoreditch. Odwracając głowę, zauważyła identyczne pismo w dłoni Osli. Przysunęły jedną kartkę do drugiej. List Osli brzmiał:

Proszę stawić się za tydzień na stacji X w Bletchley, Buckinghamshire. Pani adres pocztowy to skrytka pocztowa 111, Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Nic więcej nie musi Pani wiedzieć.

Komendant Denniston

List do Mab był bardziej oficjalny: „Na polecenie kierownika biura informuję Panią, że została Pani wybrana na stanowisko tymczasowej pracownicy biurowej [...], powinna Pani zgłosić się do służby za cztery dni, przyjeżdżając pociągiem z Londynu (Euston) o 10.40 na trzeci przystanek (Bletchley)”. Najwyraźniej zmierzały w to samo miejsce.

– To się robi coraz dziwniejsze. – Osla wyglądała na zamyśloną. – W każdym razie nic z tego nie rozumiem: nigdy nie słyszałam ani o Bletchley, ani o stacji X.

– Ja to samo – powiedziała Mab i od razu pożałowała, że nie powiedziała: „Ani ja”. Elegancka wymowa Osli i jej swobodny slang sprawiały, że Mab czuła się niepewnie. – Też byłam na rozmowie w Londynie. Pytali mnie o umiejętność pisania na maszynie i stenografowania. Widocznie dostali moje nazwisko od osób prowadzących kurs dla sekretarek, który skończyłam w ubiegłym roku.

– Mnie w ogóle nie pytali o pisanie na maszynie. Jakaś hetera sprawdziła mnie z niemieckiego i francuskiego, a potem kazała biec z powrotem do domu. Mniej więcej dwa tygodnie później przyszło to. – Osla postukała palcem w list. – Czego mogą od nas chcieć?

Mab wzruszyła ramionami.

– W czasie wojny jestem gotowa poświęcić każdą godzinę, robiąc, co tylko mi każą. Najważniejsze, żebym mogła wysyłać do domu jakieś pieniądze i być wystarczająco blisko Londynu, by odwiedzać rodzinę w każdym wolnym dniu.

– Nie bądź taką nudziarą! Możliwe, że właśnie wkraczamy w swoją powieść Agathy Christie, *Tajemnicę stacji X...*

Mab uwielbiała Agathę Christie.

– *Morderstwo na stacji X. Nowe śledztwo Herkulesa Poirota...*

– Wolę pannę Marple – oświadczyła zdecydowanie Osla. – Jest dokładnie taka jak każda stara panna i guwernantka, jaką kiedykolwiek miałam. Tyle że z arsenikiem zamiast kredy.

– Ja lubię Poirota. – Mab założyła nogę na nogę, świadoma tego, że jej buty bez względu na to, jak starannie je wypucowała, wyglądają tanio obok ręcznie szytych czółenek Osli. *Przynajmniej nogi mam równie zgrabne jak ona* – pomyślała, chcąc nie chcąc. – *Lepsze*. Taka myśl wydawała się dosyć małostkowa i podła, ale od razu było widać, że Osla Kendall jest dziewczyną mającą wszystko... – Herkules Poirot wysłuchałby bezstronnie takiej dziewczyny jak ja – ciągnęła. – Wszystkie panny Marple tego świata rzucają mi jedno spojrzenie i dochodzą do wniosku, że jestem lafiryndą.

Gdy pociąg wreszcie dotarł do trzeciej stacji, Osla zawołała: „Wycza!”; lecz nadzieje Mab wkrótce się rozwiały.

Po kilometrowym marszu z walizkami z ponurej, zatłoczonej stacji kolejowej doszły do dwuipółmetrowego metalowego ogrodzenia zwieńczonego zwojami drutu kolczastego. Bramy pilnowali dwaj wartownicy wyglądający na znudzonych.

– Dalej nie wolno – oznajmił jeden z nich, gdy Mab gmerała w poszukiwaniu dokumentów. – Musi być przepustka.

Mab odsunęła włosy z twarzy. Rano ułożyła je w idealne fale za pomocą szpilek, a teraz była spocona, zdenerwowana i fale się rozpadły.

– Słuchaj pan, nie wiemy, po co nas tu...

– A to żeście trafiły – powiedział wartownik, zaciągając po więksku, przez co trudno go było zrozumieć. – Te tutaj też wyglądają, jakby nie wiedziały, gdzie so, i Bóg jeden wi, co one tu właściwie robio.

Mab zmierzyła go lodowatym spojrzeniem, lecz Osla podeszła bliżej, robiąc wielkie oczy, a gdy zadrżały jej usta, starszy wartownik się zlitował.

– Odprowadzę was do budynku głównego. A jeśli chcecie wiedzieć, gdzie jesteście – dodał – to w Bletchley Park.

– A co to za miejsce? – spytała zaczepnie Mab.

Młodszy zarechotał.

– To największy cholerny dom wariatów w Wielkiej Brytanii.



Z rezydencji roztaczał się widok na pofałdowane zielone połacie trawnika i małe jezioro – wiktoriański budynek z czerwonej cegły z miedzianą kopułą był naszpikowany oknami i szczytami niczym bożonarodzeniowy pudding kandyzowanymi wiśniami.

– Gotyk dla ubogich – skwitowała Osla, wzruszając ramionami, lecz Mab wpatrywała się jak urzeczona i nie zdoławszy się powstrzymać, zboczyła ze ścieżki w stronę jeziora. Dla niej była to prawdziwa wiejska rezydencja w rodzaju tych, jakie pożądanymi kawalerowie zawsze wynajmują w powieściach. Nawet tutaj jednak wojna odcisnęła piętno masowej produkcji zarówno na rezydencji, jak i na personelu: teren upstrzony był szkaradnymi budynkami z prefabrykatów, a spieszący się ludzie przecinali ścieżki gdzie popadło – było tu mniej umundurowanych mężczyzn, niż Mab przywykła widywać w Londynie, i z pewnością więcej kobiet, niż się spodziewała. Ubrani w tweedy i dzianiny, kursowali z nieobecny wyrazem twarzy między budynkami a rezydencją.

– Wyglądają, jakby się zapuścili do labiryntu bez wyjścia – stwierdziła Osla, idąc za Mab w stronę jeziora, podczas gdy zniecierpliwiony wartownik został na ścieżce i tylko się im przyglądał.

– Właśnie. Jak myślisz, dokąd...

Nagle obie stanęły jak wryte. Z jeziora gramolił się ociekającą wodą i oblepiony trzcina nagi mężczyzna z kubkiem w dłoni.

– O, serwus! – zawołał wesoło. – Nowe rekrutki? Najwyższa pora, do diabła. Możesz już wracać, Davidzie – krzyknął do czekającego wartownika. – Zaprowadzę je do rezydencji.

Mab zauważyła z pewną ulgą, że mężczyzna nie jest zupełnie nagi, tylko rozebrany do slipów. Miał piegowaty wklęsły tors, twarz kojarzącą się z przyjaznym gargulcem i włosy, które nawet ociekając wodą, były czerwone jak budka telefoniczna.

– Nazywam się Talbot, Giles Talbot – oznajmił z oksfordzkim akcentem, podchodząc do sterty ubrań na brzegu. Osla i Mab przedstawiły się skrępowane, starając się na niego nie gapić. – Wskoczyłem do jeziora po kubek Josha Coopera. Wrzucił go w trzcinę, próbując rozwiązać jakiś problem. Spodnie... – mruknął Giles Talbot, grzebiąc wśród ubrań. – Jeśli te dranie z czwartego baraku znowu je schowały...

– Możesz nam powiedzieć, dokąd powinniśmy iść? – weszła mu w słowo poirytowana Mab. – Chyba jest tu ktoś, kto kieruje tym domem wariatów.

– Mogłoby się tak wydawać, prawda? – Giles Talbot zapiął koszulę, a potem narzucił na siebie starą marynarkę w kratę. – Kimś najbardziej zbliżonym do przełożonego jest tu komendant Denniston. No dobrze, chodźcie za mną.

Podskakując najpierw na jednej, a potem na drugiej nodze, by włożyć buty na boscie stopy, ruszył w stronę rezydencji, a jego koszula łopotiała na mokrych slipach i gołych białych nogach. Mab i Osla spojrzały na siebie.

– To jakaś przykrywka – szepnęła Osla. – Odurzą nas czymś, gdy tylko wejdziemy do tego szkaradnego budynku, a potem zapuszkują, przekonasz się.

– Gdyby próbowali nas zapuszkować, przysłaliby kogoś apetyczniejszego niż półnagi bociana – powiedziała Mab. – I co to właściwie znaczy „zapuszkować”...

Hol wejściowy rezydencji był wyłożony boazerią i przestronny, prowadził do pomieszczeń po obu stronach. Wisiała tam tablica ogłoszeń z przyczepionym do niej numerem londyńskiego „Timesa”, były salon z gotyckim wystrojem i szerokie schody widoczne przez arkadę z różowego marmuru... Giles poprowadził je szybko na górę do pokoju, który wyglądał jak sypialnia z wykuszem zmieniona w prywatny gabinet: zamiast łóżka wstawiono szafki i wszystko cuchnęło papierosowym dymem. Siedzący przy biurku niski mężczyzna o profesorskim czole i udręczonym wyglądzie podniósł głowę, żeby na nich spojrzeć. Nawet nie mrugnął okiem na widok gołych nóg Gilesa.

– Znalazłeś kubek Coopera? – spytał tylko.

– A do tego dwie nowe rekrutki świeżo przybyłe z Londynu. Prawda, że robią się coraz ładniejsze? Panna Kendall mogłaby w okamgnieniu zawrócić w głowie każdemu chłopakowi. – Giles uśmiechnął się promiennie do Oslie, a potem spojrzał w górę na Mab, która przewyższała go o pół głowy. – Boże, uwielbiam wysokie kobiety. Chyba nie wdychasz do jakiegoś pilota RAF-u, prawda? Nie łam mi serca!

Mab zastanawiała się, czy nie użyć lodowatego spojrzenia, lecz postanowiła tego nie robić. Cała ta sytuacja była po prostu zbyt dziwaczna, żeby się obrażać.

– Kto jak kto, ale ty, Talbot, nie powinienes się wypowiadać na temat wyglądu. W życiu nie widziałem niczego równie nieapetycznego jak ta twoja zgraja chuderlawych mózgowców z Cambridge. – Komendant Denniston, bo Mab zakładała, że to on, pokręcił głową, patrząc

na gołe białe nogi Gilesa, po czym spojrzali na dowody tożsamości oraz listy Osli i Mab. – Kendall... Churt...

– Możliwe, że zgłosił mnie tu mój ojciec chrzestny – odezwała się Osła. – Lord Mountbatten.

Rozpromienił się.

– W takim razie panna Churt to ta z londyńskiej szkoły sekretarek. – Oddał im dokumenty i wstał. – Dobrze. Zostałyście panie zrekrutowane do Bletchley Park, siedziby głównej GC & CS*.

Co to takiego? – zastanawiała się Mab.

– Grupa Celebrowania Ciastek i Szachów – podsunął Giles, jakby czytał w jej myślach.

Komendant Denniston zrobił zbolałą minę, ale brnął dalej.

– Zostaniecie przydzielone do baraków i ich kierownicy zapoznają was z obowiązkami. Zanim to nastąpi, moje zadanie polega na poinformowaniu was, że będziecie panie pracowały w najtajniejszym miejscu w Wielkiej Brytanii i że cała tutejsza działalność ma ogromny wpływ na wynik wojny.

Zamilkł na chwilę. Mab stała jak wryta i czuła, że stojąca obok niej Osła też znieruchomiała. *Jasna cholera* – pomyślała Mab. – *Co to za miejsce?*

– Wykonywana tutaj praca jest tak tajna – podjął komendant – że będziecie panie wiedziały tylko to, co konieczne, i nie będziecie dążyły do dowiedzenia się czegoś więcej. Oprócz przestrzegania zasad bezpieczeństwa w miejscu pracy musicie mieć na uwadze także zasady bezpieczeństwa poza miejscem pracy. Nigdy nie wolno wam wymienić nazwy tego miejsca, nawet w rozmowach z członkami rodziny i przyjaciółmi. Zauważycie panie, że koledzy nazywają je BP, i same też będziecie je tak nazywały. Przede wszystkim nigdy nie

* GC & CS – Government Code and Cypher School – Rządowa Szkoła Kodów i Szyfrów (przyp. tłum.).

wyjawicie nikomu, na czym polega praca, którą będziecie tu wykonywały. Ujawnienie nawet najdrobniejszego szczegółu może zagrozić wszystkim działaniom wojennym.

Znowu zamilkł. *Zamierzają nas szkolić na szpiegów?* – zastanawiała się zdumiona Mab.

– Gdyby ktoś pytał, wykonujecie tu panie zwykłą pracę biurową. Starajcie się, żeby brzmiało to nudno. Im nudniej, tym lepiej.

– A czym tak naprawdę będziemy się zajmowały, panie komendancie? – wtrąciła Osla.

– Dobry Boże, dziewczyno, nie słyszałaś ani słowa z tego, co powiedziałem? – w głosie Dennistona dało się wyczuć zniecierpliwienie. – Nie wiem, co będziecie robiły, nie znam szczegółów i nie chcę ich znać. – Otworzył szufladę biurka, wyjął dwa arkusze żółtawego papieru i położył po jednym przed każdą z nich. – To ustawa o tajemnicy państwowej. Wyraźnie przewiduje, że jeśli zrobicie panie coś z tego, przed czym was ostrzegam, jeśli wyjawicie choćby najdrobniejszą informację mogącą się przydać wrogowi, popełnicie zdradę stanu.

Zapadła absolutna cisza.

– A za zdradę stanu – dokończył po chwili Denniston łagodniejszym tonem – grożą wam najsurowsze kary przewidziane prawem. Nie mam pewności, czy aktualnie jest to śmierć przez powieszenie czy pluton egzekucyjny.

Nie mogło się zrobić jeszcze ciszej, lecz Mab poczuła, jak ta cisza tężeje. Wzięła głęboki oddech.

– Czy wolno nam... odmówić, panie komendancie?

Wydawał się zaskoczony.

– Nikt nie przystawia paniom pistoletu do głowy, nie jesteśmy w Berlinie. Jeśli odmówicie, po prostu będziecie musiały opuścić ten teren z surowym zaleceniem, żeby nikomu o nim nie wspominać.

...I nigdy się nie dowiemy, co się tu naprawdę dzieje – pomyślała Mab.

Położył przed nimi dwa pióra.

– Proszę podpisać. Albo nie.

Mab wzięła oddech i podpisała na dole. Zobaczyła, że Osla robi to samo.

– Witajcie w BP – powiedział komendant Denniston, uśmiechając się pierwszy raz, odkąd je zobaczył. I rozmowa kwalifikacyjna najzwyczajniej w świecie dobiegła końca. Giles Talbot, wciąż łopocząc mokrymi połamami koszuli, wyprowadził rekrutki na korytarz. Gdy drzwi się zamknęły, Osla złapała Mab za rękę. Mab zrobiła to samo, choć nie była z tego zbyt dumna.

– Na waszym miejscu nie traktowałbym tego zbyt poważnie. – Nie do wiary, ale Giles tłumił śmiech. – Za pierwszym razem po tej gadce rzeczywiście miękną kolana. Kiedy była moja kolej, Denniston akurat gdzieś wyjechał i wysłuchałem tej całej tyrady od podpułkownika lotnictwa, który wyjął z szuflady pistolet i zagroził, że mnie zastrzeli, jeśli zdradzę świętą tajemnicę i tak dalej, i tak dalej. Ale można do tego przywyknąć. Chodźcie, załatwmy sprawę waszych przydziałów...

Mab zatrzymała się obok schodów i splotła ręce na piersi.

– Słuchaj no, nie mógłbyś nam mniej więcej powiedzieć, co tu się właściwie robi?

– Czy to nie oczywiste? – Wydawał się zaskoczony. – GC & CS. Nazywamy to Grupą Celebrowania Ciastek i Szachów, bo pełno tu nauczycieli akademickich z Oxfordu i mistrzów szachowych z Cambridge, ale tak naprawdę to skrót od Government Code and Cypher School.

Widocznie Mab i Osla zrobiły zdziwione miny, bo uśmiechnął się i dodał:

– Łamiemy niemieckie szyfry.

4

W dniu, w którym miały się zjawić lokatorki z Bletchley Park, Beth Finch przez pół godziny wpatrywała się w kwiat róży.

– Bethan, doprawdy, wołam cię i wołam. Jak długo wążasz ten kwiat?

Nie wążam go – pomyślała Beth, ale nie poprawiła matki. Wążanie róży byłoby przynajmniej normalne – róże ładnie pachną, wszyscy są co do tego zgodni. Nie każdy jednak patrzy na różę i daje się oczarować nie jej zapachowi, lecz układowi płatków, sposobowi, w jaki zachodzą na siebie niczym schody zakręcające coraz głębiej... coraz głębiej... Delikatnie przesuwiała palcem po tej spirali, ku środkowi, tylko że jej umysł nie dostrzegał środka z pręcikami. Widział jedynie tę spiralę, podążającą dalej i dalej ku nieskończoności. Brzmiało to bardzo poetycko – „Co jest w środku róży?” – lecz Beth nie oczarowała ani poezją, ani zapach. Oczarował ją wzór.

I zanim się spostrzegła, minęło pół godziny, a matka stała obok i chyba była wściekła.

– Niedługo tu będą. Spójrz, jak wygląda ten pokój! – Pani Finch wzięła od Beth wazon z kwiatem i postawiła go na gzymsie kominika. – Przetrzyj lustro, i to natychmiast. Kimkolwiek są te dziewczyny, na pewno nie znajdą w tym domu niczego, na co można by się poskarżyć. Chociaż kto wie, co to za jedne, skoro postanowiły mieszkać poza domem. Zostawić rodziny i pójść do pracy...

– Jest wojna – mruknęła Beth, ale pani Finch była w ferworze, odkąd się dowiedziała, że skoro jest w posiadaniu wolnego pokoju z dwoma pojedynczymi łózkami, ma obowiązek zakwaterować u siebie dwie młode kobiety zatrudnione w pobliskim Bletchley Park.

– Nie mów mi, że jest wojna. To latawice, które korzystają z każdego pretekstu, żeby uciec od rodziny i wpakować się w kłopoty. – Pani Finch krzątała się po pokoju, wykonując drobne szybkie ruchy, poprawiając serwetkę na szafce nocnej, podszczypując poduszkę. Miały z Beth takie same mysie włosy, takie same ledwie widoczne brwi i rzęsy, lecz Beth stała zgarbiona i drobna, podczas gdy jej matka była imponująca, przystojna, a jej biust przypominał dziób okrętu. – Jaką niby pracę na rzecz wojny miałyby wykonywać w samym środku Bletchley?

– Kto wie. – Wojna wywołała wiele zmian w ich sennej miejscinie: przygotowania do zaciemnienia, nabór do cywilnej obrony przeciwlotniczej... Pobliski Bletchley Park nagle stał się ośrodkiem jakichś tajemniczych działań... Wszyscy byli ciekawi, co tam się dzieje, zwłaszcza że przyjeżdżały tam pracować także kobiety. W gazetach pisano, że ostatnimi czasy kobiety rzucają się w wir przeróżnych nowych przedsięwzięć – dołączają do FANY*, żeby zostać pielęgniarkami, albo wyruszają za granicę razem z wrenkami. Ilekroć Beth próbowała patriotycznie wyobrazić sobie siebie w jednej z tych ról, oblewał ją zimny pot. Wiedziała, że też powinna pomóc, lecz chętniej zgłosiłaby się do jakichś zakulisowych działań, jakich nie mogą sknocić nawet skończone idiotki. Może do cywilnej obrony przeciwlotniczej, żeby w ramach pierwszej pomocy zwijać bandażę i parzyć herbatę. Prawie we wszystkim szło jej beznadziejnie. Słyszała tę opinię przez całe życie i była to prawda.

– Lepiej, żeby te lokatorki były porządnymi dziewczynami – emocjonowała się pani Finch. – Co będzie, jeśli wylądują u nas dwie lafiryndy z Wapping?

* FANY – First Aid Nursing Yeomanry – brytyjska niezależna organizacja dobroczynna zrzeszająca kobiety zajmujące się pielęgniarstwem i pracą wywiadowczą w czasie obu wojen światowych (przyp. tłum.).

– Na pewno nie – uspokoiła ją Beth. Właściwie to nawet nie wiedziała, co to jest labirynda. Było to uniwersalne potępieńcze określenie, którego jej matka używała w odniesieniu do każdej kobiety malującej usta szminką, pachnącej francuskimi perfumami albo czytającej powieści... Beth z poczuciem winy przypomniała sobie o najnowszej książce z biblioteki, którą akurat miała w kieszeni. *Targowisko próżności*.

– Bethan, biegnij na pocztę. – Tylko pani Finch zwracała się do Beth pełnym imieniem. – Czuję, że za chwilę znowu rozboli mnie głowa... – Pomasowała sobie skronie. – Zanim wyjdiesz, zmoż dla mnie ścierkę. A po wyjściu z poczty zahacz o sklep na rogu.

– Dobrze, mammo.

Pani Finch poklepała ją czule po ramieniu.

– Mała pomocnica mamy.

To też Beth słyszała przez całe życie. „Bethan jest taka pomocna – uwielbiała chwalić się przyjaciółkom pani Finch. – To wielka pociecha wiedzieć, że będzie przy mnie, kiedy się zestarzeję”.

– Może jeszcze wyjdzie za mąż – powiedziała wdowa mieszkająca przy tej samej ulicy na ostatnim spotkaniu Instytutu Kobiet. Beth szykowała herbatę w kuchni, lecz szept tej kobiety dotarł do jej uszu. – Dwadzieścia cztery lata... przecież to jeszcze nie zupełna beznadzieja. Trudno z niej wycisnąć choćby dwa słowa, ale większości mężczyzn to nie przeszkadza. Może ktoś ci ją jeszcze zabierze, Muriel.

– Nie chcę, żeby mi ją „zabrano” – oznajmiła pani Finch z tą żwawą kategorycznością, która sprawiała, że wszystko wydawało się z góry ustalone.

Przynajmniej nie jestem ciężarem – pomyślała Beth. Większość starych panien była dla rodziny jedynie obciążeniem. Ona przynosiła pociechę, miała swoje miejsce, była małą pomocnicą mamusi. Poszczęściło jej się.

Pociągając za cienki mysi warkocz przewieszony przez ramię, poszła nastawić czajnik, a następnie zmoczyła ścierkę w zimnej wodzie i wywęła ją tak, jak matka lubiła. Zniosła ją na górę, po czym zbiegła z powrotem i poszła załatwić sprawunki. Reszta rodzeństwa Beth opuściła miasteczko po ślubie, lecz nie było popołudnia, żeby Beth nie została wysłana na pocztę z listem do nich zawierającym mnóstwo matczynych rad albo z paczką z matczynymi rozporządzeniami. Tym razem miała nadać prostokątną przesyłkę – jeden z haftów matki, wieniec różowych róż wokół słów: „Miejsce na wszystko i wszystko na swoim miejscu” – dla najstarszej siostry, która właśnie urodziła dziecko. Identyczny haft wisiał nad łóżkiem Beth i nad łóżkiem każdego dziecka, które urodziło się w rodzinie Finchów. Nigdy nie jest za późno, mawiała matka, by wpoić komuś właściwe poglądy na temat jego miejsca w życiu.

– Lokatorki już się zjawily? – spytał kierownik poczty. – W tym gronie zdarzają się różni dziwacy. Pani Bowden z zajazdu Shoulder of Mutton dostała grupę wykładowców z Cambridge, którzy przychodzą i wychodzą o najróżniejszych porach! Twoja matka nie byłaby zadowolona, co? – Czekał na odpowiedź, lecz Beth tylko kiwnęła głową, jakby zabrakło jej języka w gębie. – Z tą najmłodszą Finchówną coś jest nie tak – szepnął kierownik do swojego pracownika, gdy ruszyła w stronę wyjścia, i Beth poczuła, że robi się czerwona jak burak. Dlaczego nie potrafiła prowadzić zwyczajnej pogawędki? Nie dość, że była opóźniona (bo przecież wiedziała, że jest), to jeszcze taka zagubiona i niezdarna. Inne dziewczyny, nawet te najbardziej tępe, umiały patrzeć ludziom w oczy, gdy ci coś do nich mówili. Małomówność to jedno, ale zachowywanie się przy ludziach niczym wystraszony królik to zupełnie inna sprawa. Beth jednak nie potrafiła na to nic poradzić.

Wbiegła do domu w samą porę, by zdjąć czajnik z ognia. Dom Finchów przynajmniej dostał zapewnienie, że będą w nim kwaterować

dziewczęta, a nie mężczyźni. Gdyby życie było powieścią, tajemnicze lokatorki okazałyby się oszałamiająco przystojnymi młodymi kawalerami, którzy natychmiast zaczęliby rywalizować o rękę Beth, a Beth nie potrafiła sobie wyobrazić niczego bardziej przerażającego.

– Beth! – zawołał rozkojarzony pan Finch, który rozwiązywał krzyżówkę, siedząc w fotelu. – „Ryba słodkowodna z rodziny karpiowatych” na pięć liter.

Beth odrzuciła warkocz na plecy, stawiając herbatę.

– Karaś.

– Myślałem, że jelec...

– Wtedy siedemnaście pionowo zawierałoby J. – Beth sięgnęła po dzbanek, bez trudu przypominając sobie krzyżówkę, na którą spojrzała rano, kładąc gazetę obok talerza ojca podczas śniadania. – A siedemnaście pionowo to „kodyfikować”.

– Siedemnaście pionowo... „Systematyzować, na przykład prawnie”, jedenaście liter... Racja, kodyfikować – uśmiechnął się ojciec. – Nie wiem, jak ty to robisz.

Mój jedyny talent – pomyślała z żalem Beth. Nie umiała gotować, nie umiała robić na drutach, nie umiała prowadzić rozmowy, lecz Bóg świadkiem, potrafiła rozwiązać niedzielną krzyżówkę w zaledwie osiem minut, nie popełniając ani jednego błędu!

– „Pechowy albo feralny” na trzynaście liter... – zaczął pan Finch, zanim jednak zdążyła powiedzieć „nieszczęśliwy”, przy drzwiach rozległy się kroki i do środka weszły przy akompaniamencie stukotu walizek ich lokatorki. Pan Finch przytrzymał drzwi, pani Finch zbiegła po schodach niczym łasica do króliczej nory i zanim Beth zdążyła się zająć czajnikiem, nastąpiła prezentacja. Dwie dziewczyny, obie wyraźnie młodsze od Beth, weszły do nieskazitelnie czystej kuchni i natychmiast wypełniły sobą całą przestrzeń. Obie były brunetkami, lecz na tym podobieństwo się kończyło. Jedna miała dołeczki, była piękna, opatulona płaszczem obszytym futerkiem, mówiła z bardzo

eleganckim akcentem. Druga miała z metr osiemdziesiąt wzrostu i surowe rysy twarzy, usta perfekcyjnie umalowane czerwoną szminką i czarne brwi wygięte w łuki niczym kawalerskie szable. Beth straciła wszelką nadzieję. Były to właśnie takie dziewczyny, przy których czuła się niezdarna, powolna i, no cóż, nieszczęśliwa.

– Bardzo mi miło, że mogę panie powitać w moim domu – zdołała wycedzić pani Finch przez zaciśnięte usta. – Jej oczy przesunęły się w górę i w dół wysokiej brunetki, która odpowiadała jej równie chłodnym spojrzeniem. Beth wiedziała, jakie słowo kołacza się w głowie jej matki: „lafirynda”. W przypadku dziewczyny z dołeczkami trudno było to stwierdzić, lecz ta z brwiami bez wątpienia została sklasyfikowana jako lafirynda, jeszcze zanim wypowiedziała choćby jedno słowo.

– Jesteśmy przeszczęśliwe, że nas tu skierowano – zachwycała się dziewczyna z dołeczkami, a jej podkreślone rzęsy wytwarzały entuzjastyczny wietrzyk. – Od razu widać, że ma się do czynienia z miłymi ludźmi, prawda? Ja wiedziałam to już w chwili, w której zobaczyłam państwa absolutnie kapitalny ogródek...

Beth czuła, jak jej matka mięknie pod wpływem wymuskanych samogłosek z Mayfair.

– Mamy nadzieję, że będzie tu paniom bardzo wygodnie – powiedziała i jej akcent zбочył na północ. – Zamieszkają panie we wspólnym pokoju obok mojej córki, na pierwszym piętrze. Toaleta, to znaczy wychodek, znajduje się w głębi ogródka.

– Na zewnątrz? – Niższa brunetka wydawała się zaskoczona. Wyższa spojrziała na nią z rozbawieniem.

– Przyzwyczajasz się, Oslo Kendall. Ja jeszcze nigdy nie mieszkałam gdzieś, gdzie wychodek byłby w budynku.

– Och, zamknij się, królowo Mab!

Pani Finch zmarszczyła brwi.

– Co takie młode damy zamierzają robić w Bletchley Park?

– Prace biurowe – odrzekła bezceremonialnie Osla. – Straszne nudy.

Matka Beth znowu zmarszczyła brwi, lecz na razie postanowiła odpuścić.

– O dziesiątej gasimy światło. Gorąca kąpiel w poniedziałek, żadnego wylegiwania się w wannie. Mamy tu telefon... – Oznajmiła to z dumą, tylko nieliczni mieszkańcy wioski mogli się tym poszczycić. – Ale korzystamy z niego tylko w ważnych sprawach. Zapraszam na górę...

Po wyjściu nowych lokatorek kuchnia jakby wypełniła się echem. Ojciec, który po uściśnięciu dłoni przybyszkom nie odezwał się ani słowem, usiadł z powrotem i sięgnął po gazetę. Beth spojrzała na tacę z herbatą, wycierając ręce w fartuszek.

– Bethan... – Pani Finch znowu zajrzała do kuchni. – Nie stój tak, zanieś na górę herbatę.

Beth uciekła, ciesząc się, że los oszczędził jej szczegółowej analizy dwu lokatorek, którą matka z pewnością zamierzała się z kimś podzielić. Przed drzwiami pokoju gościnnego na chwilę przystanęła, zbierając się na odwagę, by zapukać, i usłyszała szeleszczenie rozpakowywanych walizek.

– ...jedna kąpiel tygodniowo? – Głos Mab brzmiał rzeczowo i pogardliwie. – Jak dla mnie to skąpstwo. Nie domagam się ciepłej wody, nie mam nic przeciwko myciu się w zimnej, ale bez względu na okoliczności chcę mieć czyste włosy.

– Przynajmniej mamy miednicę... O, witaj ponownie! – zawołała Osla Kendall, gdy Beth weszła do pokoju. – Herbata, jak pysznie. Kochana jesteś.

Beth nie pamiętała, by kiedykolwiek od kogoś usłyszała, że jest „kochana”.

– To ja już pójdę – wybąkała, lecz zauważyła egzemplarz *Targowiska próżności* wyjęty z jednej z walizek i nie zdołała powstrzymać okrzyku: – Och! Świetna książka.

– Czytałaś ją?

Beth zarumieniła się aż po cebulki włosów.

– Tylko nie mówcie mamie.

– Nawet nie przyszłoby mi to do głowy! – Osla sięgnęła po babczkę z drugiej najlepszej porcelany pani Finch. – Nikt nie powinien mówić swojej matce więcej niż o jednej trzeciej tego, co knuje. Przycupnij tu z nami i poplotkujmy...

Nie mając pojęcia, jak do tego doszło, Beth wylądowała na końcu łóżka Oslia. Nie była to żadna wielka rozmowa. Ledwie wykrztusiła z siebie dwa słowa, gdy obie dziewczyny trajkotały o Thackerayu i o tym, czy nie stworzyć klubu czytelników. Obie jednak raz po raz się do niej uśmiechały i rzucały jej zachęcające spojrzenia.

Może jednak nie były aż tak onieśmiałające.

„Wszak każdy z nas ma w swym życiu takie błahe na pozór rozdziały – przeczytała Beth zaledwie tego ranka w *Targowisku próżności* – co wpływają znamienne na cały dalszy przebieg jego lub jej losów”^{*}.

Było za wcześnie, by to stwierdzić... ale być może w jej życiu naprawdę zaczynał się jeden z takich rozdziałów.

* W.M. Thackeray, *Targowisko próżności*, t. 1, przeł. T.J. Dehnel, Warszawa 2005, s. 54.